



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Halina Łapińska

*„A oto moja głowa pełna
wątpliwości to ja Kasandra”
W. Szymborska*

Odkurzony pamiętnik

Siedzimy po obiedzie w pokoju i przeglądamy prasę tygodniową. Nagle mój zięć, Waldek, oznajmia – „mam coś dla mamy, proszę posłuchać – ogłaszają konkurs”, czyta treść ogłoszenia. Zawracanie głowy! Pamiętam wiele takich konkursów: „Miesiąc mojego życia”, „Pamiętniki inżyniera”, „Moje dwudziestolecie w PRL-u”, „Moje małżeństwo i rodzina” itp. Nigdy nie przyszło mi do głowy by wziąć w nich udział. Moja córka, Agata, nalega – mam, to naprawdę jest zaadresowane do ciebie, proszę spróbuj napisać, pomyśl, 50 lat Twego życia. Jeżeli nie chcesz posłać na konkurs – to napisz dla mnie, żyłaś przecież w takich niezwykłych czasach. Proszę, napisz! Spróbuj, przecież nie tylko literaci piszą swoje wspomnienia, i najczęściej zdarza się, że piszą ludzie, którzy są w wieku emerytalnym.

Próbowałam się bronić, przecież nigdy nic nie pisałam – nie umiem! – nie dam sobie rady, nie, nie... głupota!

Myśl rzucona przez dzieci nie dawała mi spokoju, odczułam dziwną bolesną rozterkę, pomyślałam: mój Boże, jak opisać swoje życie, swoje przejścia, swoje doświadczenia zbierane przez 59 lat! Jak to zrobić, żeby to wszystko co przeżyłam powiązać i zamknąć w opowiadanie, które by było spójne i logiczne. Żeby opisać wszystkie osoby, które towarzyszyły mi podczas mego życia, by ten ktoś, kto będzie czytał moje wspomnienia dowiedział się, że te wszystkie osoby kochane przeze mnie miały ogromny wpływ na losy mojego życia.

I nagle przysnął czas spokoju sobotniego popołudnia. Ogarnęła mnie ogromna tęsknota za wszystkimi bliskimi osobami. Mama, ojciec, Mietek – moja podpora i fundament, mąż, z którym razem przez 30 lat miałam szczęście „iść przez życie”, moi bliscy. Babcia Maria Zygmunt, dziadek Franciszek Zygmunt, stryjowie Ignac i Franciszek, stryj Wolf po stronie ojca oraz ukochana ciocia Ida.

Wszystkich dziś już nie ma, odeszli – na zawsze, ponieważ nie miałam rodzeństwa z następnego pokolenia zostałam tylko ja – ja ich pamiętam.

Jak na taśmie filmowej zobaczyłam ich znów, krzątających się, zmagających się z trudnymi latami wojny i po wojnie.

Zobaczyłam ich jak rozpoczynali nowe życie w czasach powojennych i jak je kończyli, chorzy, przerażeni i zagubieni. Widziałam też niektórych twarze w momencie, gdy odchodzili – spokój lub strach, ból lub obojętność – a ja ich żegnałam. Za każdym razem zrozpaczona, myślałam – nie, ja tego

nie przeżyję! Oszaleję! – nie będę umiała żyć bez nich i bez ich wsparcia, bez ich miłości. Boże jak to możliwe! Ja żyję do dnia dzisiejszego i w miarę normalnie funkcjonuję. Oni wszyscy żyją w moich wspomnieniach, w myślach codziennych. To oni ukształtowali mój stosunek do życia, do ludzi, świata i mego dziecka. To oni odchodząc dali mi siłę abym żyła i pielęgnowała o nich pamięć i ich groby. Moi kochani, najdrożsi, pamiętam wszystko, ciągle Was kocham i przekazuję moją miłość do Was memu jednemu dziecku.

Kiedy w styczniu tego roku zmarła moja matka, likwidując jej mieszkanie przeglądałam stosy listów, kartek, zdjęć oraz dokumentów pozostałych po jej i jej męża życiu. Wśród tych stosów kart wygrzebałam notatnik zapisany jej ręką. Okazało się, że pisała wspomnienia, które obejmowały lata wojny. A oto wspomnienia mojej matki, która opisuje dzieje swoje i jej rodziny.

„Przyszłam na świat tuż po zakończeniu wojny światowej 20 stycznia 1920 roku, w małej wsi podkarpackiej Krościenko, położonej niedaleko Leska. Mój ojciec Franciszek Zygmund powrócił w grudniu 1919 roku z Budapesztu, gdzie mieszkał wraz z rodziną składającą się z żony Marii, dwóch synów – Franciszka i Ignacego oraz córki Wandy. Od 1916 roku, ponieważ jako kontuzjowany nie był już zdolny do służby liniowej i pracował w fabryce amunicji.

W Krościenku powrócił do swego zawodu, maszynisty tartaczego. W owym czasie mieszkaliśmy we własnym domu, położonym w pięknym malowniczym miejscu o kilka kroków od starego iglastego lasu. Dom kupiono za oszczędności przywiezione z Węgier. Matka poza wychowywaniem dzieci prowadziła 14 morgowe gospodarstwo rolne. Ojciec mój był wspaniałym człowiekiem, kochał przyrodę, las i zwierzęta. Często włóczył się całymi dniami z dubeltówką na ramieniu po okolicznych lasach. Lecz niestety popadł w karciany nałóg i miewał takie okresy, że od kart nie można go było odciągnąć nawet przez kilka dni. W jednym takim napadzie karcianym przegrał z leśniczym Laszkiewiczem cały swój dobytek. Było to w 1922 roku. Zmienił więc pracę i zamieszkaliśmy w Dynowie koło Brzeżan, gdzie przyszła na świat moja najmłodsza siostra Teofila.

Ojciec mój był Czechem urodzonym już w Polsce w 1882 roku. Rodzice jego Józef i Barbara z domu Palek osiedlili się w Polsce w 70-tych latach ubiegłego wieku w Lennie Wielkiej koło Starego Sambora. W tym okresie właściciel okolicznych dóbr, ks. Lubomirski sprzedał część lasów baronowi austriackiemu Rilterowi, który chcąc przystąpić do eksploatacji olbrzymich połaci drzewnych, sprowadził z Czech robotników leśnych. W tej grupie znajdowali się również moi dziadkowie Zygmondowie. Dziadek zakupił kilka par koni i zajął się zwózką dłużyc tartacznych do brzegu rzeki Dniestr, gdzie zbijane w tratwy były spławiane do celu swojego przeznaczenia. Babka moja była położną. W owych czasach, gdy lekarzy było „na lekarstwo”, służyła okolicznym rodzinom chłopskim stawiając bańki, pijawki, puszczając krew i lecząc ziołami inne dolegliwości. Sama miała dzieci siedmioro, w tym trzech synów i cztery córki. Trzy z nich jeszcze przed pierwszą wojną światową wywędrowały do Stanów Zjednoczonych za pracę.

W Dynowie położonym nad rzeką San rodzice moi stracili cały dobytek ledwo uchodząc z życiem w pożarze. A było to tak: Na przedwiośniu, wieczorem w 1924 roku wezwano księdza do umierającego człowieka. Człowiek ten mieszkał po przeciwnej stronie rzeki. Łód na rzece był jeszcze dość mocny, chociaż w niektórych miejscach potworzyły się szczeliny i po lodzie płynął strumień wody. W drodze powrotnej pod koźmi załamał się lód, oderwała się kra i sanie wraz z księdzem i furmanem zaczęły płynąć. Znajdujący się w niebezpieczeństwie wzywali rozpaczliwie pomocy. Stróż tartaku, obok którego stał nasz domek, pobudził okolicznych mieszkańców, w tym ojca. Ojciec z synami pobiegli ratować księdza. Zapalka rzucona przy zapalaniu latarni, spowodowała groźny pożar, który po godzinie strawił cały tartak i domek rodziców. Ojciec był dość daleko, gdy zauważył lunę pożaru. Zdążył tylko uratować matkę, która bosą i w bieliźnie porwała śpiące dzieci i pobiegła jak najdalej od ognia. Dobrzy ludzie przygarnęli i pomogli nam przetrwać najgorsze, ale ojciec stracił pracę.

Po tym wypadku ojciec otrzymał pracę w Ustrzykach Dolnych w prywatnym tartaku dziedzica Nawowskiego, gdzie mieszkaliśmy w mieszkaniu służbowym. Ale i tam, jak we wszystkich tartakach w ówczesnych czasach, praca odbywała się w sezonie jesienno-zimowym, a w pozostałe miesiące ojciec pozostawał bez pracy. Aby związać koniec z końcem ojciec łowił ryby w górskich rzeczkach oraz kłusował na drobną zwierzynę. Matka hodowała świnię, króliki i kury oraz uprawiała ogród warzywny, tak że nam się nie przelewało, ale również nie było w domu głodu.

Pasją ojca były również książki. Czytał dużo, zarówno książki podróżnicze, jak i powieści.

Nadszedł rok 1926. W tartaku robotnicy zorganizowali strajk i żądali podwyżki płac w związku z ogólnym kryzysem, jaki w latach powojennych narastał i w Polsce i na świecie. Strajk zakończył się przegraną robotników, ponieważ właściciel ogłosił bankructwo. W Ustrzykach Dolnych rozpoczęłam naukę w pierwszej klasie i przeszłam do klasy drugiej. Miasteczko podówczas było małe, z niskimi piętrowymi kamieniczkami wokół niewielkiego placu. „Najwspanialszym” budynkiem był Dom Ludowy „SOKÓŁ”, gdzie odbywały się przedstawienia szkolne i zabawy dla dorosłych. Raz pamiętam, jak do miasteczka przyjechał cyrk, a z nim panoptikum. W płóciennym namiocie naokoło było

mnóstwo okienek małych jak okular, w których widziało się różne wspaniałe miasta, morza, palmy, zwierzęta oraz całą mękę pańską aż do ukrzyżowania.

Od tego czasu marzyłam, aby móc zobaczyć te cuda na własne oczy. Zaczęłam czytać książki podróżnicze i uwielbiać bajki.

W 1927 roku, dwoma dużymi wozami zaprzęgniętymi w parę koni, obciążonymi nieprzemakalnym płótnem, na których znajdował się nasz cały niewielki dobytek i my, pojechaliśmy na nowe miejsce pracy mego ojca, do wsi Krościenko k/Chyrowa. Nie byliśmy tam długo, bo jeszcze w tym samym roku przenieśliśmy się do Hoczwi koło Leska. Ojciec otrzymał pracę maszynisty tartaczego.

Zamieszkaliśmy w ładnym, lecz podniszczonym domu zwanym „pałata”. W domu tym mieszkali również właściciele tartaku, ale właściwie czuliśmy się tu gospodarzami, ponieważ właściciel bardzo często podróżował. Dom położony był przy moście, nad rzeką Hoczewką, która wpadała do Sanu niedaleko Leska. Z tyłu rozciągała się młoda dąbrowa, w której już z pierwszymi dniami wiosny zakwitły śnieżyczki, następnie przyłuszczki, a latem i jesienią rosły grzyby.

W tym czasie bardzo pokochałam przyrodę. Potrafiłam każdą wolną chwilę od nauki spędzać na łąkach i w lasach, obserwując życie mrówek, koników polnych, motyli i ptaków. Siedząc tak na łące potrafiłam godzinami zabawiać się wymyślanymi bajkami, w których przyroda była zaczarowanymi towarzyszami.

Okolica ta była nad wyraz piękna i spokojna. Często z ojcem i księdzem Kruczkim chodziłam nad rzekę, gdzie obaj mężczyźni, którzy byli zapalonymi rybakami, łowili ryby, sprzecząc się w międzyczasie o różne poglądy polityczne i religijne. Rzeka była rybna, zdarzały się nawet węgorze, a jelce i marynaty były chlebem powszednim. Ryby złowione przez ojca urozmaicały nam posiłki, ponieważ w wiosce tej nie było można poza podstawowymi produktami nic kupić. Matka hodowała drób i świnię.

Po pewnym czasie wskutek postępującego kryzysu gospodarczego ojciec znów szukał pracy. Znalazł ją w Ciśnie na granicy polsko-czeskiej. Ponieważ w tej miejscowości nie było szkoły, a ja uczyłam się już do 4-tej klasy, rodzice wyjechali beze mnie, pozostawiając mnie u najstarszej siostry Wandy, która w międzyczasie wyszła za mąż za Stefana Szczerbę. Był on z zawodu krawcem.

Naszym nauczycielem, ponieważ była to szkółka jednoklasowa cztero-oddziałowa – był pan Rosiwal. Cała szkoła mieściła się w jednej izbie, w której równocześnie uczyło się dwa oddziały trzeciej i czwartej po południu, a pierwszej i drugiej przed południem. Do pomocy kierownik miał młodą nauczycielkę, panią Stroińską. W czasie lekcji trzeba było skupić bardzo uwagę, aby nie słuchać równocześnie wykładu współuczniów.

Nasze podręczniki, którymi posługiwaliśmy się pochodziły jeszcze z czasów sprzed pierwszej wojny światowej. Na pierwszej stronie książki do nauki języka polskiego widniał portret cesarza Franciszka Józefa. Nauczyciel za każde przewinienie zadawał za karę przepisywanie tabliczki mnożenia, a ponieważ i mnie się taka kara przytrafiła, tabliczkę mnożenia do dziś znam celująco.

Po pewnym czasie ojciec postanowił przenieść się znów do Krościenka, miejsca moich urodzin. Zamieszkaliśmy w tych samych pomieszczeniach co przed 10-ciu laty. Ale jak wspomniałam był to czas kryzysu, pracy nie było, dopiero po dłuższych staraniach otrzymał pracę w Jaworze k/Turki nad Stryjem i tam wyjechał zostawiając mnie i siostrę pod opieką brata Franciszka.

W tej wiosce mieszkała zaprzyjaźniona z nami rodzina Laszkiewiczów i ona nam matkowała w czasie, kiedy nie było rodziców. Po ukończeniu 5-tej klasy ostatecznie cała nasza rodzina przeprowadziła się do Jawory. W Jaworze, gdzie ojciec był maszynistą w dwu trakowym tartaku, otrzymaliśmy mieszkanie składające się z dużego pokoju i kuchni. Matka uprawiała otrzymaną działkę. Przez okres wakacji brałam lekcje języka niemieckiego, ponieważ miałam zdawać do 6-tej klasy w powiatowym miasteczku Turce. Uczyła mnie przyszła koleżanka, starsza ode mnie o 4 lata Wiśka Welter.

Jawora, położona w tej części Bieszczad, która obecnie należy do Rosji, była wioską dużą. Liczącą 800 numerów. Zamieszkała w większej części przez zniszczoną szlachtę zagrodową o nazwisku Jaworscy z różnymi przydomkami, jak: Zubowicz, Osyfowicz, Ignaciewicz i innymi. Jawora ciągnęła się na przestrzeni około 10 kilometrów i posiadała dwa przysiółki – Zawadkę i Stodółkę zamieszkałą przez chłopów ukraińskich. Wieś posiadała stację kolejową, pocztę, dwuklasową szkołę, dwie cerkwie, kościół, karczmę i kilka sklepów. Nie posiadała natomiast mostu, przez rzekę Stryj i do Stodółki przeprawiano się tratwą. Rzeka Stryj była bardzo rwąca, pełna „porohów” i kapryśna. Co roku, jesienią i wiosną przy dużych opadach zdarzały się powodzie, czasami z godziny na godzinę. Surowiec do przetarcia w tartaku spławiano rzeką przy wysokim stanie wód lub dowożono saniami po lodzie.

Do szkoły dojeżdżałam do Turki. Rano jechałam o 7-mej, a wracałam o 15.30. Nie było daleko, tylko 7 kilometrów, więc zdarzało się, że w sobotę, kiedy było mniej lekcji wracałam z dziećmi na piechotę.

Ponieważ dobrze się uczyłam, ojciec postanowił, że po skończeniu szkoły powszechnej pójdę do gimnazjum. I tak się stało. Egzamin zdałam dobrze i mimo młodego wieku, w 1932 roku rozpoczęłam naukę w IV-tej klasie koedukacyjnego Gimnazjum prywatnego im. J. Piłsudskiego w Turku n/Stryjem.

Czesne było wysokie i wynosiło miesięcznie 55 złotych w IV i V klasie, a 65 złotych w VI, VII, VIII klasie.

Po długich staraniach otrzymałam zniżkę czesnego o 50%. Staralam się i uczyłam się dobrze, bo to był dla mnie zaszczyt, że jedyna bądź co bądź z dużej rodziny zostałam posłana do średniej szkoły. Miałam od samego początku dwie koleżanki i jednego kolegę, z którymi razem chodziłam do szkoły. Była to wspomniana Wiśka Welter i Zuśka Mazur oraz Milek Ekhaus. Wakacje i wolne chwile spędzałam jak dawniej na dalekich wyprawach do lasu, w którym było w bród poziomek, malin, borówek, grzybów i orzechów laskowych.

Świat wtedy wydawał mi się nadzwyczaj piękny. Najprzyjemniejszą rozrywką w owym czasie było czytanie powieści, które dosłownie połykałam, chciwa wiadomości o świecie, ludziach i ich problemach. Już wtedy zaczęłam mieć swój wewnętrzny świat, w którym zatapiałam się bez reszty marząc o różnych przygodach i doznaniach.

Z oszczędności całego życia rodzice zakupili za wsią kawałek pola ok. 2 ha, położony w bardzo Malowniczym zakątku nad rzeką Stryjem, gdzie w 1938 roku zakończyli budowę 3-rodzinnej willi, a na parceli założyli sad i pasiekę. Chcieli w tym miejscu osiąść na starość i skończyć swoją wieczną tułaczkę za pracą.

18 stycznia 1938 roku wysłałam za mąż za Bronisława I., leśnika zatrudnionego w prywatnych dobrach barona Rittera z Rittendorfu, stale przebywającego w Austrii. Zamieszkałam więc w leśniczówce położonej między wioskami Lennina Wielka a Spasem, wraz z jego rodziną składającą się z dwóch siostr, z których jedna Stefania posiadała 2-letnią córkę, oraz matki.

Leśniczówka była dość przestronna, tak, że wszyscy mieliśmy gdzie mieszkać. Należały do niej zabudowania gospodarcze, umożliwiające hodowlę bydła i trzody oraz obszerny ogród i 4 ha pola ornego przylegającego do zabudowań.

Położenie było piękne, nizina wzdłuż której prowadziła droga do stacji kolejowej i St. Sambora oraz rzeczka Leninka, otoczona niewysokim pogórzem porośniętym lasem jodłowym. Pomimo, że małżeństwo z 10 lat starszym ode mnie człowiekiem zawarte zostało bez zgody i wbrew radom rodziców – z pierwszej wielkiej miłości, nie byłam przygotowana do nowego trybu życia i nowego obcego otoczenia, wśród którego przyszło mi żyć.

Gorsze warunki materialne od tych, do których przywykłam, szorstkie odnoszenie się do mnie nowego otoczenia, konieczność ciężkiej pracy w domu, oborze i na polu przy gospodarce napawało mnie z dnia na dzień większą goryczą, której nie miałam przed kim zrzucić, wygadać się, poradzić. Do rodziców, do Jawory oddalonej o 56 kilometrów nie mogłam często jeździć, a też nie o wszystkim chciałam im opowiadać, by ich nie martwić.

I tak zbliżał się dzień wybuchu wojny – 1 wrzesień 1939 roku, byłam w dziewiątym miesiącu ciąży. Mój mąż dostał wezwanie do stawienia się w swoim pułku w Samborze 7 września 1939 roku.

W dniu 3 września – niedziela – poszliśmy na daleki spacer do miejscowości Spaś i tam spotkaliśmy mego kuzyna z żoną i razem poszliśmy polami do Busowisk. W pewnym momencie zauważyliśmy nadlatujący samolot, który penetrował tory kolejowe i usłyszeliśmy kilka detonacji. Były to zrzucone bomby na stację w Busowiskach oraz tunel między Busowiskami i Spasem. Od przerażonych ludzi dowiedzieliśmy się, że zginęło kilka znajomych osób. Ale żaden budynek ani most nie ucierpiały. Wróciliśmy czym prędzej do domu.

W oznaczonym dniu mąż stawiał się w Samborze, ale tam panował rozgardiasz, brak było mundurów dla rezerwistów, wobec czego pozwolono im wrócić do domu.

Po kilku dniach pojawili się polscy żołnierze w rozsypce. Ostrzeliwali się niemieckim samolotom. Nie mieli taborów ani kuchni. Byli wygłodniali, pozbawieni dowództwa i rozkazów. Jak mogliśmy, tak wspomagaliśmy ich w żywność: ziemniaki, mleko itp. Po kilku dniach wycofali się w kierunku Lwowa. Pozostała tylko „Obrona Narodowa”, złożona z cywilów, ale i ta pod naporem miejscowych Ukraińców zaprzestała działania. Częściowo członkowie jej zostali przez Ukraińców wymordowani w bestialski sposób, reszta uciekła do Czech przez Sianki. Mój mąż ukrył się w leśniczówce wśród lasów „Dubno”, gdzie był jeszcze leśniczy Ślżak z żoną. Wszyscy byli zdeorientowani, nie wiedzieli co mają ze sobą począć.

I tak nadszedł dzień 28 września. Wzięłam prowiant i poszłam piechotą przez lasy do leśniczówki zanieść mężowi odzież i naradzić się, co dalej. Byłam w ostatnich dniach przed rozwiązaniem, bardzo niespokojna, nie wiedziałam co począć ze sobą, chciałam być bliżej męża przy rozwiązaniu.

W Dubinie leśniczy wraz z żoną szykowali się do powrotu do Niemiec, pochodzili z Tyrolskich Alp. Przygotowali już zboże, kopali ziemniaki i mieli zamiar dwoma furmankami wyjechać w swoje strony.

Leśniczyna, pani Grosskopf, sama nie miała dzieci, więc najadła się porządnie strachu, gdy wieczorem dostałam bóle porodowych, nie wiedziała jak mi pomóc. Mąż pobiegł do Spasa, do Heli Duszkowej, która przysłała gdzieś po północy z moją kuzynką Marią Martyniak i po kilku godzinach urodziła mi się córka. Ale były kłopoty poporodowe z łóżykiem. Do najbliższej akuszerki było około 50 kilometrów (Sambor), o lekarzu nie było nawet co marzyć, a więc Maria Martyniak zaprzęła konie nocą i poje-

chała w nocy do Sambora, skąd rano przywiozła akuszerkę, która pomogła mi. Jej odwadze Zawdzięczam może nawet życie. Bo gdyby nie jej odwaga umarłabym z upływu krwi. Na drugi dzień furmanką wymoszczoną słomą przewieziono mnie do Spasa.

W międzyczasie miejscowość ta zajęta została przez wojsko rosyjskie. Nie wiem jakimi kanałami dowiedziała się moja matka o moim ciężkim stanie (miałam zapalenie gruczołu piersiowego). Po kilku dniach przyjechała po mnie i zabrała nas obie do Jawory (około 40 kilometrów). Tam miałyśmy obie z Halinką wspaniałą opiekę, a mój brat Franciszek zatroszczył się o moje zdrowie, a był już najwyższy czas, bo ropa zebrała się już w obydwu piersiach. Franek całe życie był zapalonym zielarzem, spreprował więc jakąś maść, która przerwała stan zapalny, ustąpiła gorączka i zaczęłam wierzyć, że nie zostawię swojej córeczki sierotą.

Po kilku tygodniach przyjechał również mój mąż, przywożąc cały nasz dobytek i zamieszkaliśmy z rodzicami.

Sytuacja w pobliskich wsiach się o tyle unormowała, że uruchomiono tartak, w którym pracowali mój brat Franciszek i ojciec. Niedługo przyjechał również z rodziną mój brat Ignac, który powrócił z wojny i któremu udało się uciec z niewoli niemieckiej. Byliśmy razem, ale nie na długo. 10 grudnia 1939 roku został aresztowany mój brat Franciszek, z powodu rzekomego sabotażu w tartaku. I już nigdy nie powrócił. Nie wrócił również po wojnie. Wszelki ślad po nim zaginął. I nikt nigdy nam nie powiedział, w jaki sposób Rosjanie go stracili. Gdzie jest jego grób?

W marcu mój mąż został leśniczym w Dubnie koło Strzyłek. Przeniosłam się więc do leśniczówki, położonej 5 kilometrów od Strzyłek. Na szczęście mieszkała tam również rodzina gajowego, tak że było nam razem raźniej. Nie mieszkaliśmy tam długo. Już w kwietniu męża przeniesiono do Spasa i zamieszkałam z rodziną w dawnym miejscu, razem z rodziną męża.

1 maja 1940 roku dostaliśmy wiadomość, że moja rodzina, tj. ojciec, matka, brat Ignacy, bratowa Kasia i Wanda, siostra Filka, córeczka Ignaca Basia i Franciszka – Irena oraz mąż Filki Piotr, znajdują się w drodze do Kazachstanu.

Byli na stacji w Samborze, czekali na dalszy transport. Razem z nimi było jeszcze wiele znajomych rodzin z Turki.

Mąż i jego siostra pojechali natychmiast na tę stację wioząc trochę prowiantu na drogę i byli z nimi cały dzień. Nie mogłam pojechać ze względu na dziecko i gospodarkę. Ktoś musiał zostać w domu.

Pierwszy list przyszedł z Kazachstanu po trzech miesiącach. Dowiedziałam się, że rodzice mieszkają w Aktiubińsku, a ojciec pracuje w kopalni jako mechanik. Natomiast pozostała rodzina, tj. siostra z mężem (Teofila i Piotr), bratowa Kasia z córeczką Ireną oraz brat Ignac, bratowa Wanda i ich córeczka Basia zostali zatrudnieni w Kołchozie III Internacjonal, który znajdował się wśród stepów Kazachstanu.

Siostra i bratowa Wanda pracowały w oborach, bratowa pasła cielęta na stepie, a mężczyźni pracowali w jakichś warsztatach kolchozowych. Wysłałam im natychmiast paczki, które dotarły, lecz zawartość była tak rozdrobniona w czasie transportu, że dotarły smętne okruchy.

10 grudnia 1940 roku przyszedł na leśniczówkę jakiś młody człowiek, ubrany na pół wojskowo, na pół cywilnie, mówiący po polsku i kaleczonym językiem rosyjskim. Był bardzo zdżony i poprosił o mleko, aby mógł z nim zjeść swój suchy chleb. Przedstawił się, że jest pracownikiem jakiegoś przedsiębiorstwa skupującego bydło. Jednak wyglądał na polskiego żołnierza-tułacza, który przedziera się w swoje strony. Męża nie było w domu, wyjechał na kilka dni. Po jakimś czasie mój podróżny przyznał się, że jest ranny, otrzymał postrzał w plecy w czasie ucieczki z obozu, leczyl się jakiś czas u dobrych ludzi we Lwowie, a teraz zamierzał przekroczyć granicę i przedostać się na tereny Polski, będące pod okupacją niemiecką i dotrzeć do domu do Warszawy. Miał „lewe” papiery, a naprawdę nazywał się Ryszard Sokołowski i mieszkał z rodzicami przy ul. Grochowskiej nr 366 w Warszawie. Ojciec jego był lekarzem. Opowiadał, że będąc w obozie jenieckim na Litwie, został internowany wraz z pozostałymi żołnierzami w głąb Rosji i tam przebywał w jakimś obozie na Sybirze. Pracowali tam przy ścinie lasów. Kilku z nich postanowiło uciec. Ze wszystkich uciekających pozostał on jeden – sam. W czasie przekraczania granicy na Polesiu został raniony. Przebywał jakiś czas u znajomych w okolicach Lwowa. Tam podleczył się i zdążył do Warszawy.

Odstąpiłam mu własne łóżko, wykąpałam, zmieniałam opatrunki. Kiedy wypoczął i poczuł się lepiej po dwóch dniach poszedł sam w stronę granicy. Do dnia dzisiejszego nie wiem, jak mu się powiodło, czy doszedł do domu?

Wiosną, w okolice naszej leśniczówki nadszedł cały pułk rosyjskiego wojska, które było rozlokowane w okolicznych lasach, a z naszej studni nabierali i wozili wodę do gotowania. Cały czas więc stała warta przy studni.

Halina rosła, lubiana przez wszystkich. Była ładnym dzieckiem i bardzo miłym. Nie sprawiała mi większych kłopotów. Nawet nie chorowała, chociaż warunki, w których rosła, były dalekie od dobrych.

Tak minął rok 1940 i nadszedł 1941.

Z Kazachstanu przychodziły listy bardzo rzadko. Odwiedziłam siostrę Wandę. Mieszkała nadal w tartaku, Stefan, jej mąż tu pracował, trochę szył – jakoś żyli.

W roku 1941 wybuchła wojna niemiecko-rosyjska. Akurat 22 czerwca, drogą przy leśniczówce przejeżdżały ewakuowane oddziały wojsk pogranicza. W pewnym momencie zatrzymał się samochód wojskowy, wysiadło z niego dwóch oficerów i jedna kobieta w zaawansowanej ciąży, u której rozpoczął się poród. Wprowadziłam ich do pokoju, przygotowałam własne łóżko, na które położono kobietę. Po kilkunastu minutach, które wydawały mi się wiekiem, urodziła syna. Moja teściowa zajęła się dzieckiem, owinęła w kocyk i pojechali dalej. Do dziś nie wiem, jak się nazywała ta kobieta i czy zdrowa i żywa dojechała do swego miejsca pobytu.

Ukraińcy „podnieśli głowy”, bo spodziewali się, że Niemcy stworzą im raj. Zaczęły się akty zemsty, donosy, polowania na Żydów...

W tym czasie, a ściślej w sierpniu, tereny nasze nawiedziła okropna powódź. Wszystkie pola leżące wzdłuż rzek i strumieni zostały zalane wysoką wodą, która nie ustępowała ponad tydzień.

Zboża zostały zamulone, ziemniaki wypłukane, po prostu nie było czego zbierać z pól. Nastął głód.

W tym czasie definitywnie rozpadło się moje małżeństwo. Nie mogłam tak żyć, postanowiłam wyjechać do siostry do Jawory. Powstał spór o córkę. Chciałam ją wziąć ze sobą. Niestety, mąż uprzedził moje zabiegi i udowodnił u władz, że dziecko u niego będzie miało lepszą opiekę.

Musiałam ustąpić, bo sama nie wiedziałam jak mi się ułożyć życie. Halinka miała niecały rok. Spakowałam do walizki co najważniejsze i wyjechałam do Jawory. U siostry również nie przelewało się. Szwagier pracował jako palacz w tartaku, gdzie już urzędował Niemiec Schulz. Siostra trochę szyła dla ludzi, mieli dwoje dzieci (13 i 6 lat). Był głód... Rozpoczęłam pracę jako pomiarowa. Pieniądze wtedy nie były ważne, bo za nie nic nie można było kupić.

Otrzymywałam w naturze 1 kg mąki jęczmiennej i 1 kg chleba. Inni handlowali tytoniem, słoniną, ale ja się do tego nie nadawałam. Umiałam tylko uczciwie pracować, a to było za mało, żeby przeżyć. Nie mogłam obciążać siostry jeszcze swoją osobą. Zdecydowałam się wyjechać do innych krewnych z nadzieją, że się gdzieś jakoś urządzą.

Pojechałam do ciotki, starszej siostry mego ojca, która mieszkała pod Przemyślem w Nowym Mieście. Przyjechałam akurat w dniu pogrzebu mego wuja. Niestety nie mogłam tam zostać. O pracę było trudno, a ciotka nie była zobowiązana, by mi pomagać.

Pozostał mi tylko Lwów. Tam mieszkała ciotka Hanka, siostra mojej matki. Za ostatnie pieniądze kupiłam bilet. Przesiadkę miałam w Chyrowie, gdzie czekałam na połączenie kilka godzin. Byłam bardzo głodna. Nie miałam nawet kromki chleba.

W pewnym momencie, gdy stałam na moście, pod którym przejeżdżał pociąg, chciałam skoczyć na szyny. Miałam przecież 21 lat, byłam bezsilna, osamotniona i przerażona. Ale ktoś mnie złapał z tyłu. Obejrzałam się, była to starsza pani, która mi powiedziała, że obserwuje mnie od dłuższej chwili. Rozmawiała ze mną długo. Jej serdeczne słowa wlały we mnie otuchę do dalszego życia.

Już spokojniejsza wsiadłam do pociągu na Lwów. Do ciotki przyjechałam o 7 rano.

Wujostwo przyjęli mnie bardzo serdecznie. I pomimo, że i u nich była bieda, jak wszędzie, postanowili z miejsca, żeby u nich zamieszkała, obiecali, że znajdą mi pracę i żeby się nie martwiła.

Sami mieszkali bardzo skromnie. Mieli tylko jeden pokój z kuchnią, gdzie równocześnie mieściła się pracownia wuja, który był dobrym krawcem męskim. Tuż przed wojną kupili sobie za Zieloną Rogatką plac pod budowę i zdążyli wybudować ładną willę pod dach, ale niestety wykończyć wnętrza już nie zdążyli. Był tam również ogródek warzywno-owocowy. Początkowo pomagałam wujostwu w pracach w ogrodzie. Po dwóch tygodniach sąsiadka ciotki zawiadomiła nas, że tam gdzie ona pracuje potrzebna jest pracownica do kuchni. Była to nieduża restauracja na rogu ul. Batorego i Szymonka, składająca się z dwóch sal, bufetu i kuchni. Właścicielem był Adam Wólczek. Zostałam przyjęta.

Do obowiązków moich należało zakupienie warzyw na rynku (Plac Halicki), pomoc kucharce i mycie naczyń. Dostawałam trzy posiłki, z tym, że chleb musiałam mieć swój, oraz 150 zł miesięcznie, za które nic nie można było kupić.

Z pomocą dobrych ludzi zostałam zameldowana, a nawet dostałam skierowanie z Arbeitsamtu.

We Lwowie, jak wszędzie w tym czasie, panował przeraźliwy głód. Ludzie umierali na ulicy i leżeli z wyдутymi brzuchami, dopóki ich nie uprzątnęli sprzątacze, którymi z reguły były brygady złożone z Żydów.

Utworzono Getto na Zamarstynowie, gdzie przekwaterowano siłą wszystkich Żydów. Mieszkali w okropnych warunkach po 2-3 rodziny w jednym pomieszczeniu. Byłam tam, bo mój szef prowadził jakieś interesy, w których byłam pośrednikiem.

Po pewnym czasie zaczęto wywozić tych biednych ludzi, rzekomo do pracy we Włoszech. Cieszyli się i sami dobrowolnie zapisywali się – bo nie wiedzieli, że jadą do Oświęcimia.

Pewnego razu jadąc tramwajem do Rzeźni Miejskiej, która była usytuowana na krańcach miasta za Gettem, zobaczyłam przeraźliwy obraz, który nie zdoła nic zatrzeć do końca moich dni. Na placu przy ul. Zamarstynowskiej leżały sterty pomordowanych ludzi. Na kilkunastu balkonach wisiały zwłoki

żydowskich policjantów, a cały plac wyglądał jak jatka. Była to akcja odwetowa za zabójstwo przez de-sant jakiegoś dygnitarza niemieckiego. Tak zakańczano „oczyszczanie” miasta z Żydów.

Nastał rok 1943, a z nim prześladowanie Polaków, masowe wywózki na roboty do Niemiec i łapanie na ulicach. Początkiem marca wpadli do naszej restauracji Niemcy i po wylegitymowaniu całego personelu, mnie przeznaczyci na wywóz do pracy w Niemczech. Miałam się zgłosić na przyszły dzień w Arbeitsamcie, na wszelki wypadek zabrano mi Ausweis, czyli dowód osobisty. Zamiast tego za namową wujostwa wyjechałam 11 marca 1943 roku do Jawory.

Miałam wyjątkowe szczęście, bo w pociągu wyrwykowo sprawdzano dokumenty. Przy sobie miałam tylko polski dowód osobisty. Byłam kontrolowana tylko raz i przepuszczono mnie.

Dojechałam do celu.

W okresie mojej pracy we Lwowie byłam tylko raz w Leninie, aby zobaczyć się z Halinką. Wiedziałam, że mąż mnie nie wpuści. Poszłam do rodziny Hocków. Hoćko był gajowym. Był chrzestnym ojcem Halinki. Jego córka Kasia poszła po Halinkę i przyniosła ją do siebie. Dziecko mnie nie poznało, ale istnieje chyba jakiś „głos serca”. Dziecko po chwili przytuliło się do mnie. Serce mi pękało, że muszę znów wyjechać i że nie możemy być razem. Przywiozłam dziecku sukienkę, płaszczyk ciepły, buty i trochę bielizny. Szczęście trwało bardzo krótko, po godzinie Kasia musiała odprowadzić dziecko. Był rozdzierający płacz przez całą drogę. Nie mogłam temu zaradzić.

Ten płacz słyszę zawsze, ilekroć wspominam te czasy.

Wracając do mego powrotu ze Lwowa do Jawory w marcu 1943 roku, to zastałam już inną sytuację u siostry i w tartaku. Nowy kierownik tartaku oberleutnant Herman, rodem z Wrocławia był człowiekiem „ludzkim” i robotników nie traktował źle. Wśród 8 urzędników, było 5-ciu, którzy „przyjechali z Polski”. I tak: St. Kaczyński oraz ojciec i syn Dubińscy, byli ze Lwowa. Dwóch innych, których nazwisk nie pamiętam, z Krakowa. Wyczuwało się, że traktują tę pracę jako możliwość przetrwania okupacji. Pracowałam w biurze jako księgowa materiałowa. Wszystko szło na front wschodni i wg adresów na specyfikacjach orientowaliśmy się, jak przebiegają umocnienia frontowe. W okolicznych lasach ukrywali się uciekinierzy żydowscy, którzy nie dali się wywieźć do obozów zagłady. Wśród nich był mój przyszły mąż, Anzelm Weicher.

W roku 1944 front przybliżał się do Karpat. Skierowano do okolicznych wsi wojska węgierskie, współpracujące z Niemcami, które budowały umocnienia, bunkry, wały przeciwczołgowe w okolicy. W sierpniu zakończono pracę w tartaku, a tartak został zaminowany, jak również tunel kolejowy, stacja oraz wszystkie mosty i mostki.

Z końcem miesiąca nastąpiła ostatnia „batalia”, kilka kilometrów od nas w Isejach stały już rosyjskie wojska. W naszym domu zakwaterował się punkt dowodzenia artylerii niemieckiej, a my mieszkaliśmy w stajni i na strychu. Po dwóch dniach tej ciszy, usłyszeliśmy szum motoru. Na podwórzu wjechał motocykl z żołnierzami rosyjskimi. Wybiegliśmy wszyscy z domu. Zapytali nas „Niemców gdzieś niet?” – odpowiedzieliśmy, że „niet”.

I tak zakończyła się okupacja niemiecka na naszych terenach, w wyniku której zginęły w obozach zagłady tysiące mieszkańców okolicznych wsi i Turki.

Radość radością, ale trzeba było z czegoś żyć. Zbiorów z naszego poletka 1,5 ha prawie nie było. W ostatnim okresie wojny stały tam działka przeciwlotnicze, a przez resztę pola przebiegał pas min przeciwczołgowych. Więc trzeba było znów szukać pracy.

Nastał rok 1945 – od ludzi dowiedziałam się, że w Turce powstają już jakieś przedsiębiorstwa i instytucje, wybrałam się więc na zwiaady. Po kilku miesiącach w Turce dowiedziałam się, że mój mąż został aresztowany przez Rosjan, a Halinka mieszka z jego siostrą i jej dziećmi we wsi Spasa. Leśniczówka została spalona, teściowa zmarła. Nie namyślając się długo poszłam z innymi ludźmi drogą do Spasa, odległego o 40 kilometrów.

Po kilku kilometrach marszu zabrali nas rusczy żołnierze na samochód ciężarowy i do wieczora dojechaliśmy do Busowisk, a stamtąd już pieszo do Spasa. Gdy weszłam do izby, w której mieszkała Stefka, były w domu tylko jej dwie córki. Halinki nie było. Bawiła się z dziećmi na pastwisku. Wysłałam jej naprzeciw. Zobaczyłam dziewczynkę opaloną na brąz, brudną, zaniedbaną, bosą, ubraną w jedną sukieneczkę bez bielizny. Po długim wahaniu podeszła do mnie płacząc i powtarzając za mną to ja, twoja mama! Potem wyszeptwała „moja mamo, wiedziałam, że po mnie przyjedziesz!” Tej chwili też nie mogę wspomnieć bez wielkiego wzruszenia.

Umyłam ją, ścięłam włosy, bo nie można było rozczesać, nakarmiłam chlebem, który zabrałam z sobą na drogę i powiedziałam Stefce stanowczo, że zabieram Halinkę. Sprzeciwiała się. Powiedziała, że boi się Bronka, który obecnie jest wprawdzie aresztowany, ale jak wróci zrobi jej piekło. W związku z czym, poszłam do naczelnika wsi do jego prywatnego mieszkania, przedstawiłam jemu sprawę, dał mi pismo, że mam prawo zabrać dziecko i że udaję się z nią do Jawory. Teraz Stefka nie miała nic do powiedzenia. Przez całą noc Halinka leżała nie śpiąc ani jednej chwili, przytulona ciasno do mnie i bardzo szczęśliwa. Na drugi dzień ubrałam dziecko w rzeczy, które jej przywiozłam i ruszyliśmy pieszo w powrotną drogę. Po kilku kilometrach wzięła nas na furę kobieta, która odwoziła swego syna do

wojska. Zawiozła nas do swego domu w Strzyłkach, nakarmiła barszczem i pieczonymi ziemniakami oraz przenocowała. Rano nakarmiła nas na drogę i ruszyliśmy dalej.

Po kilku kilometrach ciężkiej wędrówki nadjechał samochód wiozący żywność na front. Kierowca zatrzymał się pytając o drogę do Turki. Powiedziałam, że właśnie tam idę i prosiłam, żeby nas podwiózł. Wziął nas do szoferki, gdzie siedział jakiś „starszyna”. Przeczytał moje zaświadczenia i zgodził się nas podwieźć. Na rozdrożu, żegnając się dałam mu wieczne pióro „Parker”.

Do domu miałyśmy już tylko kilometr drogi. Gdy przyszłam z dzieckiem do siostry, zdziwiła się, że w takim niepewnym czasie odważyłam się na taki czyn.

Po kilku tygodniach zaczęto organizować w Jaworze przy tartaku „Lestranschoz” tj. przedsiębiorstwo, które trudniło się zwózką dłuźyc – kłoców – na linię frontu w celu umocnienia okopów oraz produkcją opału dla instytucji i mieszkańców. Dostałam mieszkanie przy biurach i wyprowadziłam się od siostry nie chcąc być jej ciężarem. Dostawałam deputat w mące, kaszy, mięsie, cukrze i ziemniakach, zarabiałam robiąc swetry z wełny owczej – i tak jakoś się żyło.

Pracowałam wówczas z moim obecnym mężem Anzelmem Weicherem, który również był sam, nikt prawie z jego rodziny nie został żywy. Byli Żydami. I tak nasza wspólna niedola i ciężkie czasy zbliżyły nas do siebie. On stracił córeczkę w wieku Halinki i całą swą miłość przelał na nią.

Po kilku miesiącach, w sierpniu 1945 roku postanowiliśmy zamieszkać razem, a sprawy formalne załatwić po przyjeździe do Polski.

W tym czasie rozpoczął się pobór mężczyzn w celu uzupełniania walczącej armii. Okoliczni chłopci ukraińscy masowo uciekali do lasów i przyłączali się do bandy UPA, która grasowała w tych okolicach od dłuższego już czasu. I tak w maju, tuż przed końcem wojny grupa UPA napadła na mieszkankę wsi Cholewową, obrabowała ją i zabiła.

Na Polaków zamieszkałych w Jaworze padł strach, prawie wszystkie rodziny wyprowadziły się do Turki, uważając, że w większym skupisku ludzi będzie bezpieczniej. Wyprowadziliśmy się również. Zamieszkaliśmy przy biurach naszego Lestranschozu. Pod koniec 1945 roku rozpoczęliśmy starania o zezwolenie dla mojej matki, bratowych i dzieci, którzy w międzyczasie zostali przesiedleni na Ukrainę. Po wysłaniu „wyzewu” jesienią 1945 roku wrócili „nasi”. Bratowe z dziećmi, siostra i mama. Ojciec zmarł w Kazachstanie – „nie przywykł”, nigdy go już nie zobaczyłam.

Brat i szwagier wojowali w Dywizji Kościuszki z Niemcami. Mama z siostrą i jej dzieckiem – Teresą, zatrzymały się u siostry Wandy, bratowa Kasia z córką Ireną pojechały do jej rodziców do Jesionki, a bratowa Wanda z dziećmi Basią i Teresą – zamieszkały u jej brata Dzikka Waltera.

Utworzono w Turce PUR i wszyscy zarejestrowaliśmy się na wyjazd do Polski na Ziemię Zachodnie.

O zakończeniu wojny po prostu trudno jest pisać, dowiedziałyśmy się „grubo” po fakcie, nawet trudno sobie przypomnieć po ilu tygodniach. Ale też trudno było nam uwierzyć. Ludzie szaleli wprost z radości, strzelali na wiwat, pili, śpiewali, tańczyli, padali sobie w ramiona.

Ponieważ pociąg do nas nie dochodził, a pogłoski o wyjeżdżających transportach ludzi na Ziemię Odzyskane rozchodziły się coraz głośniejsze, postanowiliśmy wyjechać do Sambora, bo tam właśnie mieścił się punkt zbiorczy zarejestrowanych na wyjazd.

Kursowały stare zdemobilizowane wozy między Turka a Samborem. Po przyjeździe na miejsce mój obecny mąż poszedł rozejrzeć się, gdzie by to się zatrzymać. Dogadał się ze swymi znajomymi, którzy odstąpili nam na razie kąt w swoim pokoju.

Po kilku dniach znalazł mieszkanie przy innej rodzinie, która wynajęła nam jeden pokój. Na transport czekaliśmy do 17 sierpnia 1945 roku. Dostaliśmy miejsce w krytym wagonie ciężarowym wraz z kilkoma innymi rodzinami, które jak my nie miały dobytku. Do spania mieliśmy 1 kanapę i kawałek podłogi w wagonie. Na drogę kilka bochenków chleba, kiszzone ogórki i trochę tłuszczu.

Nie wiedzieliśmy, gdzie jedziemy i jak długo będzie trwała nasza podróż. Na stacjach, które mijaliśmy, stali ludzie handlujący chlebem i herbatą, ale nie każdy mógł się dopchać, a poza tym nie mieliśmy pieniędzy polskich ani rzeczy do wymiany.

Nasz transport był przeznaczony do woj. zielonogórskiego, lecz załatwiliśmy z kolejarzami i w Katowicach odczepiono kilka wagonów z przeznaczeniem do Gliwic.

W dniu 23 sierpnia 1945 roku zameldowaliśmy się w PUR w Gliwicach. Z pomocą znajomych męża, którzy już tu mieszkali, znaleźliśmy mieszkanie po Niemcu, który należał do partii hitlerowskiej i uciekł z rodziną do Niemiec.

Mieszkanie było skromne – kuchnia i pokój, bez wygod, ale i to było dla nas w tych warunkach luksusem, tym bardziej, że było kilka „gratów” najniezbędniejszych.

Z czegoś trzeba było żyć. Mąż zaczął trochę handlować, sprzedaliśmy kilka sztuk garderoby własnej, a następnie handlowaliśmy garderobą skupioną od tutaj mieszkańców na bazarze. O pracę było bardzo trudno. Miasto właściwie niewiele ucierpiało od działań wojennych, ale cały przemysł był zniszczony. Zaczęto kompletować załogi do kopalń, które często były zalane wodą. Duże zakłady przemysłowe wymagały remontów i fachowców. Moja siostra Filka, która przyjechała razem ze mną pojechała szukać swego męża, przebywającego na leczeniu w jakimś szpitalu wojskowym pod Warszawą.

Wróciła zupełnie załamana, ponieważ jej mąż w międzyczasie związał się uczuciowo z sanitariuszką, oświadczył, że zawdzięcza jej życie i chce z nią zostać.

Odnalazł się nasz brat Ignac, który był w Armii Kościuszki. Pod Kołobrzegiem stracił lewą rękę. Mieszkał w Bielsku i dostał tam domek i kawałek ziemi – ogrodu. Zabrał do siebie Filkę i jej córkę, a my zostaliśmy sami. Zaczęłam bardzo poważnie szukać pracy. Przechodząc ul. Zwycięstwa zauważyłam tablicę Miejski Komitet PPR. Przypomniałam sobie, że mój ojciec kiedyś był „lewicujący”, więc weszłam, natknęłam się na mężczyznę, który okazał się być jakimś sekretarzem i przedstawiłam mu, w jakiej sytuacji się znajdujemy i prosiłam o umożliwienie mi jakiegokolwiek pracy. Zostałam skierowana do inż. Jerzego Gościńskiego, który był jednym z organizatorów Związku Zawodowych Pracowników Budowlanych w Gliwicach. Zgłosiłam się i zostałam przyjęta.

Właściwie Związek nie istniał, praca moja polegała na chodzeniu z deklaracjami pod wskazane adresy, gdzie działały firmy budowlano-rozbiórkowe i jednałam członków. Niedługo po tym (ok. 2 m-cy) z sublokatorskiego pokoju na Klasztornej przenieśliśmy się jako Związek do własnego lokalu przy ul. Rynek nr 2, otrzymaliśmy całe II piętro domu, gdzie z czasem powstał sklep Konsum Związkowy i wydawano w nim kartkową żywność.

W listopadzie wstąpiłam do Partii PPR-u, zaczęłam pracę w składzie komisji przy Referendum i pierwszych wyborach do Sejmu.

Moja córka Halina rozpoczęła w 1946 roku naukę. Była bardzo ładnym i kochanym dzieckiem. W międzyczasie przeprowadziłam rozwód z moim byłym mężem w Gliwickim Sądzie. Mieszkaliśmy w pokoju z kuchnią przy ul. Szarej. Gdy byłam w pracy Halinką zajmowała się „Froilan Styczyna”, która była naszą sąsiadką, wysyłała również Halinkę do szkoły.

Wiosną 1946 roku nareszcie przyjechała do brata Ignaca moja matka i tam u niego zamieszkała. Niestety, niedługo cieszyła się nami. Wycieńczona, spracowana mając 54 lata zmarła nagle.

Pochowana została w Bielsku. Siostra Filka z dzieckiem wyjechała do Czerwieńczyc woj. wałbrzyskie, otrzymała gospodarstwo rolne i wyszła za mąż za Antoniego Falsztykiera, który był naszym dalekim krewnym.

W roku 1948 wyjechaliśmy do Bielawy na Dolny Śląsk, gdzie mój przyszły mąż otrzymał pracę w Tartaku Państwowym jako zawiadowca hali traków. Tam też po uprawomocnieniu się wyroku rozwodowego zawarliśmy związek małżeński 7 maja 1949 roku.

Tam też przyszły na świat moje sześciomiesięczne nieżywe bliźniaczki. Halinka chodziła do szkoły, uczyła się dobrze i była bardzo posłusznym i kochanym przez wszystkich dzieckiem. W roku 1950 nastąpiła reorganizacja tartacznictwa i mąż przeniósł się do pracy do Cieplic Śląskich, a w miesiącu czerwcu przeprowadziliśmy się ostatecznie do Cieplic.”

Wiem jedno na pewno, aby opisać okrucieństwo i wpływ na nasze życie wojny – nie można zawęzić wspomnień do kilkuletniego wycinka w życiu człowieka.

Wojna wpłynęła na życie trzech pokoleń:

- pokolenie moich dziadków, którzy w chwili wybuchu mieli około 50 lat
- ich dzieci, które rozpoczęły start do życia dorosłego (20-30 lat)
- oraz najmłodsze pokolenie dzieci, które urodziły się tuż przed wojną lub w czasie jej trwania.

Dopiero pokolenie mojej córki – jest wolne od wspomnień wojennych.

Ponieważ aż trzy pokolenia wojna „skaziła”, zmieniając ich psychikę i całe życie, dlatego też postanowiłam opisać również swoje wspomnienia, przeżycia „ostatniego pokolenia wojny”. Wiem, że wspomnienia rozrosną się – ale będzie to dopiero jakaś całość! To wojna sprawiła, że znaleźliśmy się w sojuszu z Rosją. I ten właśnie nieszczęsny sojusz narzucił nam styl i jakość tego życia. I ten styl i jakość naszego życia, jest też częścią historii – losów powojennych.

Nie jestem w stanie ustosunkować się do sytuacji i przeżyć mojej rodziny w czasie wojny. Kiedy w 1945 roku po raz pierwszy zobaczyłam moją matkę miałam 6 lat.

Pamiętam kobietę stojącą obok domku wołającą: „Halinko! To ja twoja mama.” Nie mogłam się Ruszyć z miejsca. Byłam przerażona – bałam się wszystkich i wszystkiego. Niewiele pamiętam z dzieciństwa. Pamiętam biedę, głód, strach i przerażającą samotność. Wiedziałam, że jestem sierotą. Nie mam mamy i ojca. Byłam nieufna, nie umiałam również dobrze mówić po polsku. Pamiętam, że uciekałam przed „tą mamą” powtarzając w kółko „Hauka bobujustsia” – były to słowa, które bardzo dobrze zapamiętałam, bo powtarzałam je wszystkim, nawet pierwszej nauczycielce w szkole – kiedy czułam się „zagubiona lub niepewna”. Pamiętam również pierwsze spotkanie z ojczymem, ponieważ ojca nie pamiętałam. Zaakceptowałam mego ojczyma od pierwszej chwili jako ojca i tak już pozostało na zawsze. On, Anzelm Weicher był moim ojcem przez 50 lat. Innego ojca nie znałam, albo prościej, nie chciałam znać! Pamięć dziecka jest „wybiórcza”, pamiętam kilka obrazów z okresu wojny, które głęboko utkwily w mojej świadomości.

Pamiętam, jak paliła się leśniczówka w Spasie i uciekaliśmy nocą w popłochu w dół do wsi, następnym obrazem to uciekające wojska niemieckie i my, dzieci, brodzące po rzece, szukające jakichś puszek

po konserwach, które Niemcy wrzucali do rzeki. Pamiętam na polu zabitego konia i ludzi krzątających się wokół tego konia, obcinających połacie mięsa. Pamiętam też, że byłam ciągle głodna i nie chciana przez nikogo.

To są moje wspomnienia z wczesnego dzieciństwa do lat siedmiu.

Kiedy zjawiała się mama, wszystko zaczynam od nowa. Mam mamę i ojca. To wcześniejsze dzieciństwo przestaje „boleć”. Zaczyna się nowy etap, nowego życia.

Jedziemy do Polski! Czekamy na transport a potem wsiadamy do pociągu. Od tego czasu moja pamięć zaczyna funkcjonować „normalnie”. Dzień po dniu wszystko jest jasne i klarowne. Widzę siebie w pociągu, w wagonie. Czekam wraz z innymi dziećmi, kiedy wreszcie zobaczymy Polskę. Ciągłe się o niej dookoła mówi. Pamiętam ten dzień bardzo dokładnie – przekraczamy granicę – jest POLSKA!

Jestem w duchu zawiedziona, takie same pola, lasy i wsie. Moja mama podaje mi uszytą chorągiewkę z biało-czerwonego płótna. Wszyscy są radośni, śpiewają, płaczą, cieszą się i kiwają rękami – słychać okrzyki Polska! Polska... A ja stoję oparta o poręcz w drzwiach wagonu i myślę, co to jest ta Polska? Dlaczego wszyscy obiecywali, że będzie inaczej, a jest tak samo!

Pamiętam pierwszy postój, gdzieś w okolicach Przemyśla. Kobiety i dzieci pobiegły do pierwszych domów, zabierając ze sobą wiadro, przekonane, że dostaniemy mleka, ale kobiety z tej wsi krzyczały, wyzywały nas, szczuły psami. Wycofaliśmy się znów do wagonów.

Mama i ciocia płakały upokorzone. A ja z kuzynką nie mogłyśmy zrozumieć, dlaczego ci ludzie nie cieszą się, że przyjechaliśmy do nich.

Wreszcie pociąg wjechał na bardzo dużą stację i wysiedliśmy. Były to Gliwice.

Gliwice przyjęły nas gościnnie, odstaliśmy na dworcu zupę i chleb. Tatuś gdzieś zniknął i za godzinę przyszedł z dwoma mężczyznami, którzy zabrali nasze „tobolki” i poszliśmy do „prawdziwego” mieszkania.

Mieszkanie wydawało mi się cudem, był 1 pokój i kuchnia, wszystko urządzone. I nareszcie były łóżka z pościelą.

Rozpoczęliśmy jako rodzina w miarę normalne życie. Pamiętam swoje pierwsze zdjęcia – wystarzone 6-letnie dziecko, ogolona głowa na „lyso” (wszy i kołtun) oraz drugie zdjęcie zrobione już w Gliwicach – przyzwoicie ubrana w mundurku szkolnym, schludnie wyglądająca uczennica.

Byłam dzieckiem na pewno trudnym – nieufna, nadwrażliwa i ciągle się bałam – właściwie bałam się wszystkich i wszystkiego. Sama zostać w domu, obcych ludzi, a najbardziej bałam się utracić mamę i tatę. Bardzo kochałam moich rodziców, obawiałam się, że się znów pogubimy, Dlatego też niechętnie oddalałam się od nich, a już katorgą był dla mnie jakkolwiek wyjazd na kolonie, na które, niestety – mimo protestów, musiałam wyjeżdżać. Przez cały miesiąc, gdy inne dzieci biegały i bawiły się, ja wypłakiwałam oczy z tęsknoty za domem.

Problemem również była niedostateczna znajomość języka polskiego. Brakowało mi wiele słów, które zastępowałam językiem ukraińskim albo niemieckim, którego nauczyłam się bardzo szybko na podwórku dużego budynku przy ul. Szarej w Gliwicach od dzieci niemieckich. Dlatego też dzieci często wyśmiewały się ze mnie, przezywając mnie różnymi epitetami.

Najbezpieczniej czułam się w domu z rodzicami. Zdarzało się, że oboje rodzice wychodzili z domu zostawiając mnie samą, wówczas chowałam się pod łóżko lub stół i tam cichutko czekałam na ich przyście.

Kiedy zaczęłam naukę w drugiej klasie, rodzice zdecydowali się na wyjazd na Ziemię Odzyskane do Bielawy.

Ale po dwóch latach przenieśliśmy się do Cieplic, w których mieszkaliśmy 10 lat.

Kiedy miałam 12 lat, po raz pierwszy dowiedziałam się od „uczynnej” kuzynki mojej mamy, że mój biologiczny ojciec w Warszawie ma „nową” żonę i dwie córki.

Trudno mi dzisiaj zrozumieć jak to się stało, ale wiadomość ta nie była „trzęsieniem ziemi”. Bardzo szczerze rozmawiałam z moimi rodzicami na ten temat. Dowiedziałam się również wówczas, że mój ojczym jest Żydem.

I to też nie wywołało żadnych problemów. Kochałam swego ojczyma bardzo i gotowa byłam być również Żydówką.

Ojczym mój był wspaniałym człowiekiem i wspaniałym ojcem. Nie miał w Polsce żadnej rodziny – jedyny brat, który ocalał mieszkał w Izraelu i niestety nigdy po wojnie się nie zobaczyli. Utrzymywali ze sobą tylko kontakt korespondencyjny. Bycie w Polsce Żydem nie było wcale takie bezproblemowe, jak by mogło się wydawać. Pamiętam wiele kołtuństwa, chamstwa i obelg pod adresem naszej rodziny. Pamiętam również rok 1968, za który do dziś się wstydzę. Pamiętam przyjaciół, wspaniałych ludzi, którzy opuścili wbrew swojej woli Polskę.

I do dnia dzisiejszego boli mnie serce na myśl ile upokorzeń przyszło znieść memu ojcu – tylko dlatego, że kochał nas i nie chciał nas opuścić.

Wstydziłam się za tych wszystkich wstrętnych, natrętnych ludzi, którzy do dnia dzisiejszego nękają mnie brakiem kultury, kiedy stoję przy grobie ojca na cmentarzu Żydowskim w Legnicy.

Zamordowano mu żonę, córkę, matkę, ojca, brata, siostrę oraz dalszych krewnych – czy to mało?!

Dlaczego musiała się jeszcze czaić niepewność i strach w jego oczach, przecież żył w cywilizowanej Polsce w środku Europy. Uczono mnie zawsze szacunku do wszystkich ludzi i wszystkich religii – tego samego uczyłam swoje dziecko.

To właśnie Ojciec – Żyd zaprowadził mnie, kiedy byłam mała do plebanii na lekcję religii, to On dopilnował, żebym przystąpiła do Pierwszej Komunii Świętej. I cieszył się, że moja córka, a jego wnusia miała swój dzień Komunii Świętej. Dlatego zawsze powtarzam – to był mój Ojciec.

Widocznie tak miało być, że miałam mu zastąpić zamordowaną córkę. Nawet dzisiaj, kiedy go już nie ma (zmarł 22.03.1991 roku) – już 7 lat – przymykam oczy i widzę jego dobre oczy. I chcę wierzyć, że gdziekolwiek teraz jest, pomaga mi żyć nadal i roztacza nad nami opiekę.

Myślę również, że ta rodzina, z którą spotkał się „tam na górze” wybaczyła mu, że pokochał „gojkę” i wychował jej dziecko. Dziękuję Ci Tatusiu za wszystko.